

Korespondencja z Piekła – 10

10 marca 2019

Wchłonie ją ulica

Wszystko wskazuje na to, że to już ostatni felieton z tego cyklu. Co będzie dalej? Zobaczymy, mam pewne plany, ale o tym napiszę już osobny tekst, a być może powstanie kolejna ich seria.



Umówiłem się z ordynatorem, że zostanę tu jeszcze do piątku. Czyli w dniu, gdy gazeta ukaże się w kioskach – będę zbierał swoje manatki szykując się do wyjścia. To świetna okazja podsumowania pobytu i opisanie pewnych zjawisk rozciągniętych w czasie, zamiast jak dotychczas, opisu jednorazowych incydentów.

Miałem kilka dni spokoju, bo zostałem w sali sam. Wprawdzie jedynie na trzy doby, ale dzięki temu odpocząłem. Dzisiaj były jednak kolejne przyjęcia i właśnie jestem w trakcie poznawania nowych współlokatorów, którzy dołączyli do mojej sali i będą mi towarzyszyć już chyba do samego wyjścia. Ale do rzeczy.

Poznałem tutaj pewnego mężczyznę – nazwijmy go R. Gdy

przyszedłem, leżał już na oddziale. Traf chciał, że zamieszkaliśmy w jednej sali. Spędziliśmy razem jakieś dwa tygodnie. Sala była trzyosobowa, mieliśmy więc okazję lepiej się poznać.

R. na samym początku budził sympatię. Wydawał się nieszkodliwym, a wręcz sympatycznym biznesmenem fantastą. Twierdził, że ma ogromną firmę, robi dachy, a na detoks przyjeżdża jedynie żeby odpocząć. Na takie wczasy, bo od niczego uzależniony nie jest. Powoływał się przy tym na jakieś koneksje w tym szpitalu. Tak czy inaczej twierdził, że lubi tu przyjeżdżać, że gdy jego rodzina wyjeżdża gdzieś zagranicę, to on w tym czasie wyskakuje sobie na detoks. Jest tu więc stałym bywalcem. Mimo, że też wielokrotnie bywałem pacjentem tego oddziału, nie trafiliśmy dotychczas na siebie. Najwyraźniej musieliśmy się mijać. Istotne, że był koleżeński i można było z nim porozmawiać. Nawet jeśli czasami zakrawało to o fantazję.

R. zawsze zanim przyjedzie na oddział, specjalnie się przygotowuje. Zaopatruje się w sporą ilość Clonazepamu, który przemyca w różnych otworach ciała. Sam ich nigdy nie bierze, to jedynie waluta. Przy zagranicznych wczasach również należy zaopatrzyć się w walutę kraju, do którego jedziemy. W krainie detoksu najlepszą walutą jest Clonazepam, czyli popularne „klony”.

Za kilka tabletek można tu kupić od innych pacjentów markowe ciuchy, perfumy, ale przede wszystkim tabletki te, były dla R. doskonałą formą zapłaty za sex. I faktycznie, co chwilę kleiła się do niego jakaś głodna „klonów” dziewczyna. Kilka razy ktoś z pacjentów nakrył go z którąś w łazience. Był jednak na tyle ostrożny, że nie przyłapał go nigdy nikt z personelu.

Całe opakowanie – trzydzieści sztuk – kosztuje niecałe cztery złote (około dziesięciu złotych bez refundacji). To chyba najtańsza z możliwych forma prostytucji.

Nie sędzę, by jednorazowo dawał więcej jak cztery czy pięć tabletek. Wszystko byłoby OK, dziewczyny, które chodziły z nim do tej łazienki były dorosłe i poza szpitalem również w ten sposób zarabkowały. Po historii z „robieniem lodu” za pasztet drobiowy, którą opisałem w poprzednim odcinku myślałem już, że pod tym względem nic mnie już nie zdziwi.

Zastanawiałem się jedynie, czy R. nie boi się zarazić, bo HIV i HCV są tu bardziej popularne niż grypa, ale uznałem, że to nie moja sprawa i nie wnikałem za bardzo w jego liczne romanse. Chyba, że któraś z dziewczyn zaczynała zbyt często nachodzić nas w pokoju, stawało się to wtedy irytujące. R. jednak starał się nie doprowadzać do takiej sytuacji, choćby ze względu na personel. Nie chciał za bardzo zwracać na siebie uwagi. Gdy jednak już się jakaś wpakowała, to szybko zabierał ją i wychodzili, albo gdy miał już dość, to zwyczajnie wypraszał. Czasami dziwił mnie jedynie totalny brak gustu, bo facet nie wybrzydzał, ale każdemu podoba się co innego.

Opowieści o firmie, pracownikach i majątku kwitowałem uśmiechem, a że był sympatycznym czterdziestoparolatkiem, lubiłem z nim rozmawiać.

Po dwóch tygodniach wspólnego pobytu dostał wypis i pojechał do domu. Wymieniliśmy się numerami telefonów i z zapewnieniem, że utrzymamy kontakt pożegnaliśmy się. Sądziłem, że się już nie spotkamy, uśmiełem się jedynie, gdy jedna z dziewczyn, której obiecał paczkę i jakiś przelew, chodziła codziennie sprawdzać czy przyszło. Po kilku kolejnych tygodniach zadzwoniła do niego, a on powiedział, że niestety nie może się wywiązać, bo go okradli. Cały oddział pękał ze śmiechu zarówno z naiwności dziewczyny, jak i z bogactwa, o którym opowiadał.

Dziwiliśmy się tej naiwności,. Dziewczyna miała już ponad trzydziestkę, z czego ładnych kilka lat spędzonych w kryminale i bardzo wiele pobyków na różnych detoksach. Nie była więc pierwszą naiwną, ale niezłą cwaniarą i kombinatorką. Zaskakujące, jak łatwo omamić cwaniaka, gdy tylko obieca się

coś, w co ten tak bardzo chce uwierzyć.

Zapominałem pomału o R. i całej tej znajomości, gdy pewnego dnia ponownie pojawił się na oddziale. Ucieszyłem się nawet, bo naprawdę dało się go lubić. Z powodu rotacji i ciągłych zmian już nie mogliśmy leżeć w jednej sali, ale oczywiście przywitaliśmy się i zdziwiony zacząłem wypytywać co spowodowało tak szybki powrót na oddział. Powiedział, że poznał jakąś dziewczynę i umówił się z nią tu, na detoksie. Wspomniał nawet, że specjalnie naćpał się Mefedronem i Tramalem, by mieć pewność, że zostanie przyjęty. Dziwnie bowiem by wyglądało, że niespełna miesiąc po opuszczeniu oddziału przyjeżdża ponownie, chociaż wyniki w testach ma ujemne. A bardzo zależało mu na tej dziewczynie, która jak twierdził miała niebawem przyjechać.

Dwa dni później przyjechała dziewiętnastolatka z twarzą czternasto-piętnastoletniego dziecka. Przywiózł ją dziadek. R. zapewnił staruszkę, że zajmie się dziewczęciem i żeby ten niczym się nie martwił.

Zaraz na wstępie dziewczyna ogłosiła, że chce wejść na program metadonowy. Wszystkie wyniki miała jednak ujemne, nie brała żadnych opiatów i nie wiadomo od czego tak naprawdę była uzależniona. Kiedy zobaczyłem to dziecko i wiedząc, że to właśnie co do niej R. ma te swoje nieczne plany, poczułem do niego odrazę.

Dziewczyna, jak wspomniałem, przyjechała z ujemnymi wynikami, ale bardzo była napalona na Metadon. Doszło nawet do głośnej wymiany zdań między nią, a ordynatorem, który daleki był od dawania jej narkotyku, podczas gdy wyniki jednoznacznie wskazywały, że opiatów nie brała, nie ma więc z czego jej tym Metadonem leczyć. A samo podawanie, byłoby w tym momencie jedynie podawaniem narkotyku, którego odstawienie jest trudniejsze niż odstawienie heroiny.

R. nie miał takich skrupułów, ale nie miał też Metadonu. Robił

wszystko, by go zdobyć. Płacił klonami jeśli komuś udało się wynieść kilka mililitrów, aż uzbierał ilość, która dziewczynę zadowalała. Tak było każdego dnia. Każdego dnia skupował resztki Metadonu z kubków innych pacjentów, a dziewczyna z dnia na dzień stawała się mniej przytomna, zasypiała z twarzą w talerzu podczas kolacji. W końcu personel zorientował się, że chodzi naćpana. Ponieważ nie dostawała leków, które mogłyby takie objawy wywołać, nie trudno było dojść do wniosku, że zaczęła tu na oddziale coś ćpać. I zaczęły się kipsze.

R. dotychczas był poza podejrzeniem i pewnie dalej by tak zostało, gdyby nie przypadek. Do sali w której leżał weszła pielęgniarka w momencie gdy rozdzielał – świeżo wyjęty z ciała Clonazepam. Co to jest? zapytała. R. pewien swoich koneksji i tego, że jest po imieniu z każdą pielęgniarką, odpowiedział: „No jak to co? klony”. Zrobił to w taki sposób, że niby wie, że przeszkrobał, ale wiadomo że nic mu za to nie grozi. Po chwili jednak pojawił się terapeuta, który powiedział: „Pakuj się”. R. nie mógł uwierzyć, że ktoś wyrzuca go z oddziału. Terapeuta dwukrotnie musiał powtórzyć, by dotarło do R., że właśnie został karnie wyrzucony. Nie pomogły koneksje, na które tak często się powoływał. Po przeliczeniu, okazało się, że tych klonów miał blisko sześćdziesiąt.

Dziewczyna została na oddziale bez swojego sponsora i zaczęła szukać kolejnych. Stała się łatwym łupem, choć część pacjentów i personel pilnowali, by nikt niczego jej nie wyniósł.

Do ordynatora natomiast przyszło pismo, w którym R. opisując zdarzenie, zwała winę na „niechęć terapeuty do młodych dziewcząt” i chcąc jakoś się usprawiedliwić, wejść w łaski, powymieniał od kogo kupował Metadon. Oskarżył ludzi, którzy nie mieli z tym nic wspólnego, czym przyznał się do podawania dziewczynie narkotyku.

W którymś z pierwszych odcinków opisałem historię jak jeden kolega uzależnił od heroiny drugiego, by mieć sponsora na ćpanie. To kolejna tego typu historia, w której ktoś uzależnia

kogoś, by zaspokoić swoje partykularne interesy i prymitywne żądze.

To jest ta druga, ciemna strona detoksu, często niewidzialna nawet dla innych pacjentów. Jeśli nie ma spektakularnej wpadki, to czasami dopiero po jakimś czasie zaczynają krążyć plotki.

R. dotychczas świetnie się z tym ukrywał. I gdyby nie wpadka, to całe kulisy z chęcią uzależnienia dziecka pozostałyby jego tajemnicą. Nawet pacjenci, którzy niechcący weszli do łazienki, gdy ten uprawiał sex z którąś z dziewczyn, nie mieli pojęcia o premedytacji R. Ot, przyłapali parę w sytuacji niezręcznej – pomyśleli, wzruszyli ramionami i tyle. Jedna z dziewczyn, która nakryła R. z małolatą w toalecie publicznie powiedziała mu co o nim myśli. Ale również nie miała pojęcia o tym, że on to wszystko wcześniej ukartował. Ludzie niezdolni do perfidii, nie podejrzewają o perfidię innych.

Każdy robi tu jakieś swoje drobne dyle, to normalne. Najczęściej jest to jedynie handel wymienny słodyczy czy papierosów. Nawet nie wiem, czy łamie to w jakiś sposób regulamin oddziału. Pod tym wszystkim istnieje jeszcze jakiś podziemny, perfidny świat, niedostępny dla niewtajemniczonych pacjentów.

Z ostatniej chwili, tuż przed wysłaniem do redakcji tego tekstu wydarzyło się coś, o czym muszę napisać. Dziewczyna wyleciała z oddziału. Została przyłapana w sytuacji jednoznacznej z jednym z pacjentów. To był już szósty, lub siódmy, który miał ja tutaj w łóżku. Kilka razy była wyganiana przez personel z łóżek innych pacjentów. Nawet jeśli była niekompletnie ubrana, to nigdy nie złapano ich w trakcie. Zdziwiła mnie jedynie jej determinacja. Tym razem był to stary, zniszczony chlaniem i ćpaniem, bezzębny narkoman. Ona wyszła z oddziału pierwsza, on jakieś pół godziny za nią. Czekala na niego na zewnątrz. Gdy już opuścił detoks oboje poszli na autobus do Warszawy.

Jej los wydaje się przesądzony – ładna, zgrabna, cholernie napalona na ćpanie i bez żadnych zahamowań – dziwiętnastolatka z buzią piętnastolatki. Gdy tylko dotrą do stolicy, zapewne wchłonie ją ulica. To, co ma do zaoferowania poruszy stołecznym narkobiznesem. Z czasem popyt zacznie spadać, ale teraz podbije wszystkie bajzle, a dilerzy zaczną się o nią licytować.

A wszystko to przez jednego faceta – R., którego nazwać skurwysynem to chyba za mało.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info